



Autobiografia Literatura Kultura Media
nr 1 (24) 2025 | s. 179–190
ISSN (print) 2353-8694
ISSN (online) 2719-4361
DOI: 10.18276/au.2025.1.24-13



BIOGRAFIE MÓWIONE

My, dzieci z Głębokiego. Z Leszkiem Szarugą (Aleksandrem Wirpszą) rozmawiają Piotr Krupiński i Mariusz Strzeżek. Szczecin, 14.09.2023

L.S.: Ty, Piotrze, spytałeś o Głębokie? To jest dla mnie, w mojej biografii, miejsce jedno z centralnych, tak jak mówi się zwykle, że to raj utracony, to jest raj dzieciństwa. Cały czas mam w głowie takie określenie, którym posługiwali się moi rodzice, zwłaszcza moja mama, w takiej komitywie z Jerzym Andrzejewskim, z Osmańczykiem, czyli ludźmi z Głębokiego – takie hasło: „My biedni ludzie z Głębokiego”. Bo rzeczywiście bogaci oni wszyscy nie byli wbrew pozorom. Utrzymanie tego wszystkiego kosztowało. Miejscowość ówczynie znajdowała się gdzieś na krańcach świata. Z autobusem raz dziennie jeżdżącym albo niejeżdżącym do Szczecina. Bo to dzisiaj jest Szczecin, ale wtedy to żaden Szczecin nie był. Drałowało się... do przystanku tramwajowego to się szło za koszary. Przecież to był kawał drogi. Z siatami, ze wszystkim. Ludzie nie mieli samochodów, takich rzeczy, trzeba było pieszo zrobić, z plecakami na grzbiecie i z siatami w łapach. Te biedne kobiety dostarczały do domu aprowizację pełną. No trafili rzeczywiście jak podarunek od Boga po tej wojnie. Co prawda wszystko swoje potracili, ale podostawali wille z pełnym wyposażeniem. Wszystko było – meble, sztuce, talerze, zastawa, wszystko, co chciałeś. Sady, powiedzmy, takie sady wokół willi, no, ale zawsze owoce. Ja do końca życia będę pamiętał. Wiśni do dzisiaj nie zjem (śmiej). Bo ta bieda była taka, że wiśnie były przez długi okres, powiedzmy miesiąc–półtora miesiąca podstawą pożywienia. Zupa wiśniowa, kompot wiśniowy, pierogi z wiśniami, Boże jedyny, wiśnie, one mi uszami wychodziły po prostu. To było jednak fajne, ponieważ jakieś jabłonki były, jakieś porzeczki, i to we wszystkich trzech kolorach, ci Niemcy potrafili dobrze zagospodarować te ogrody i one takie po nich pozostały. Klomby z kwiatami. Piękna aleja topolowa koło domu.

Taka, naprawdę to było coś, co wybijało się... Garaż obok, co prawda niesłużący do trzymania samochodu (śmiej), bo tego nie było, natomiast fajna rzecz po prostu. I jednocześnie to było takie miejsce dla mnie, dla moich przeżyć, że ciągle się pojawiali jacyś nowi ludzie. Obok Wiktora Woroszyńskiego, który mieszkał naprzeciwko, obok Jerzego Andrzejewskiego, który był dwa-trzy domy obok, czy Osmańczyka, zanim wyjechał do Warszawy ze swoją córką, która niestety już też nie żyje, podobnie jak Agnieszka Andrzejewska, no, z dzieci z Głębokiego zostało nas chyba tylko dwóch, znaczy syn Andrzejewskiego i ja. A reszta już jest u Pana Boga, za rodzicami swoimi powędrowali. To była taka mała minikolonia literacka, takie powiedzmy pseudo-Pieriedielkino, taka próba stworzenia tutaj w Szczecinie kolonii, która miała polonizować miasto. To założenie władz szczecińskich było takie, że oni tutaj stworzą takie gniazdo polskości. Ściągali malarzy, ściągali właśnie pisarzy... Jaś Papuga – świetny reporter, czy też gdzieś przez jakiś czas migoczący w pobliżu Gałczyński (śmiej), postaci, które obrosły tutaj legendami, anegdotami...

P.K.: Najmocniejsza oczywiście dotyczy autora *Zielonej Gęsi*, „Gałczyński – poeta szczeciński...”

L.S.: Z tym, że on był króciutko właśnie, on był krótko tutaj niezwykle. Natomiast Andrzejewski, no!, Andrzejewski, to napisał jedną z takich książek, która jest fundamentalną książką socrealizmu – *Partia i twórczość pisarza*¹. To tutaj powstawało, te wszystkie jego dzienniki... Wszystko takie socrealistyczne. On wówczas dostał... rzeczywiście mu się przełamało w głowie coś. Z tym, że szybko zaczął z tego wychodzić. Już *Wielki lament papierowej głowy*², chyba tak to się nazywało, to już jest taka próba zrozumienia, w co wdepnąłem. Ale on miał zawsze potrzebę jakiejś wiary, czy to *Ład serca* przed wojną, czy ten socrealizm i socjalizm po wojnie, to wynikało jakby z takiej konstrukcji psychicznej.

P.K.: Leszku, i chyba te pierwsze „odwilżowe” opowiadania – *Złoty lis*³, jeśli dobrze pamiętam – pojawiają się już w korespondencji twojego ojca z Różewiczem. To opowiadanie było szokiem dla środowisk znających Andrzejewskiego.

L.S.: Nie tylko dla środowiska. To było wyjście poza normę. To było złamanie norm, a wtedy ich przestrzegano niesłychanie. Jak się czyta krytykę z tamtego czasu, to to widać przecież. Wyraźnie. Nie wiem, czy Kierczyńska na ten temat się wypowiadała, ale jakby się

¹ Zob. Jerzy Andrzejewski, *Partia i twórczość pisarza* (Warszawa: „Czytelnik”, 1952).

² Zob. Jerzy Andrzejewski, „Wielki lament papierowej głowy”, w: tegoż, *Niby gaj. Opowiadania 1933–1958* (Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1967).

³ Jerzy Andrzejewski, „Złoty lis”, w: tegoż, *Złoty lis* (Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1955); por. Jerzy Smulski, „Prawo do fantazji. (O «Złotym lisie» Jerzego Andrzejewskiego)”, w: tegoż, *Pęknięcie lodów* (Toruń: Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, 1995).

wypowiedziała (śmiech), to by to zgniotła po prostu. Jak pluskwę. Natomiast, oczywiście, *Złoty lis* był takim wyjściem poza realizm. Powiedzmy sobie – w tym całym środowisku to kobiety były w porządku. Znaczą one nie dostawały żadnego szału (śmiech). Matka zawsze była zdystansowana wobec tego wszystkiego. Marysia Andrzejewska też miała to po prostu w głębokiej pogardzie, chociaż bardzo kochała męża i dzieci (śmiech). I one trzymały jakby taką gardę, dzięki której ci ludzie wychodzili cało z tego wszystkiego. Osmańczyk miał bardziej skomplikowaną sytuację, bo miał żonę Niemkę, więc zaraz po wojnie to nie było wygodne. Znaczą wygodne-niewygodne, no, po prostu żył jak człowiek, ale, był podatny na naciski, powiedzmy sobie, a poza tym zawsze był tym specjalistą od Niemiec, więc jego dość szybko wyłuskano z tego Głębokiego do Warszawy. Potem jakąś karierę dyplomatyczną robił, w ONZ zdaje się skończył.

P.K.: Kolejną nader wyrazistą postacią był Woroszyński...

L.S.: No i Witek Woroszyński, który oczadziały był zupełnie. To był właśnie przywódca „pryszczatych”. Gdyby Tadeusz Borowski nie popełnił samobójstwa, to on by pewnie przewodził temu towarzystwu. Z tym, że – zauważcie – tam jest takie jedno ciekawe opowiadanie... Ja się zastanawiam, czy oni sobie wtedy zdawali z tego sprawę... Pewnie nie znali Klemperera, bo gdyby znali, to by prawdopodobnie to inaczej wyglądało. Tadeusz Borowski poświęcił opowiadanie Victorowi Klempererowi⁴, który wtedy był profesorem w Greifswaldzie i przeszedł całkowicie na stronę komuny, i zaczął mówić tym językiem, który opisał w *LTI*, tylko że w wariacie odwróconym. Zaczął mówić językiem totalitarnym, tylko komunistycznym, a nie nazistowskim. To opowiadanie jest niezwykle zupełnie. Ono jest jakby w podzięciu Klempererowi za to, że właśnie tak...

P.K.: Ale patrząc archeologicznie, można by zapytać, dlaczego Klemperer nie stał się Głowińskim? I sekretnie nie zaczął tworzyć czegoś na wzór soc-LTI?

L.S.: Dokładnie. Ale no trudno, tak się stało, warto jednak odtworzyć sobie klimat tamtych czasów, nie na zasadzie tłumaczenia-nietłumaczenia czegoś, tylko po prostu spojrzeć na realia, popatrzeć na to z dystansem, przyjrzeć się przez pryzmat materii życia. Oni w tym wszystkim zwyczajnie żyli, odcięci od świata właściwie, bo Warszawa daleko, wtedy jeszcze dalej niż dzisiaj i to dużo dalej niż dzisiaj...

P.K.: A nawet – jak wspominałeś – i Szczecin w pewnym sensie był od nich oddalony (śmiech)...

⁴ Mowa o *Muzyce w Herzenburgu*. Opowiadanie przedrukowane w tomie: Tadeusz Borowski, *Proza*, t. II, oprac. Sławomir Buryła (Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2004).

L.S.: Szczecin tak, do Szczecina był kawałek drogi, to znaczy wybieranie się do „13 Muz” to była wycieczka, czy do filharmonii, choć nie wiem, czy filharmonia wtedy już działała... Do teatru jakiegoś, czy do kina, to była prawdziwa wyprawa. I do 1954 chyba roku (w ‘54 przeprowadziliśmy się z Głębokiego na Pogodno), to była właśnie taka enklawa kompletnie oddalona od życia i jednocześnie pełna nakręcających się nawzajem ludzi, do których na szczęście przyjeżdżali ludzie z zewnątrz.

P.K.: Leszku, Pogodno, jaka to była ulica, czy to było Jacka Soplicy?

L.S.: Nie, nie, to było koło Jacka Soplicy, ale to była Leszczyńskiego. Leszczyńskiego 39, pamiętam dokładnie. Otóż... powiem tak – za bogato nie było, ale nie było powodów, żeby było bogato. „Za żółte firanki nie chodzili”, bo co prawda byli partyjni, ale panowie (śmiej), panie raczej się trzymały z daleka od tego, od tej zabawy. I to też jest ciekawe bardzo. Jest taki charakterystyczny list Miłosza chyba do kogoś o tym, że odwiedził Andrzejewskiego na Głębokim, cudowna willa, mówi, z widokiem na jezioro (śmiej)... Mnie krew załała, na co on patrzył? Jak był w tej willi, no na jezioro nie mógł spojrzeć, bo oddzielone było lasem, więc cudów nie ma. I jednocześnie taka uwaga chyba właśnie żony Miłosza, że Marysia⁵ to ma ciężko. Ona zobaczyła, w czym te dziewczyny żyją po prostu. Przecież to wszystko były dzieciaki do cholery jasnej, po dwadzieścia parę lat, poza – powiedzmy – Jerzym [Andrzejewskim – PK] właśnie, który był trochę starszy. Ale to wszystko była gówniarzeria. Opowiadał mi ojciec oczywiście o tych wielkich dyskusjach, które się toczyły tam przy takiej magicznej lampie poniemieckiej (śmiej), z takim zielonym kloszem. To wspa- niałe było. Siedzieli i kłócili się o poezję! Wyobrażacie sobie!? (śmiej). Naprawdę się o to kłócili. To to było niezwykle po prostu. Z drugiej strony, no, chlało się strasznie. Oczywiście bardziej panowie niż panie. I jakby niezrozumienie... Znaczący Miłosz przyjechał do egzotycznego świata. Krótko wizytował w Szczecinie, coś załatwiał, przy okazji wpadł do starego przyjaciela.

P.K.: Ale z tych listów, które wraz z panem Mariuszem badaliśmy⁶, wynika, że Miłosz bywał wówczas w Szczecinie kilkakrotnie, pojawiał się też kilkakrotnie w korespondencji obu naszych gentlemanów. Natomiast, Leszku, zwróciłbym uwagę na taki podwójny rys twojej opowieści o Głębokim. W jej ramach miesza się z jednej strony wielka historia literatury, ideologii,

⁵ Chodzi o matkę poety, Marię Kurecką (1920–1989), pisarkę, poetkę, tłumaczkę literatury angielskiej, francuskiej i niemieckiej.

⁶ Edycja krytyczna korespondencji Tadeusza Różewicza z Witoldem Wirpszą, odnalezioną w archiwum Książnicy Pomorskiej w Szczecinie, ukaże się na łamach „The Polish Review” w 2026 r., w opracowaniu Piotra Krupińskiego i Mariusza Strzeżka.

gdzieś te chmury z łoskotem nad horyzontem się przewalają. Ale z drugiej strony mamy ten smak wiśni, o którym wspomniałeś, ta perspektywa dziecka, chłopca. A swoją drogą, *Smak wiśni* skojarzyć się może z przejmującym filmem irańskiego reżysera, Abbasa Kiarostamiego. Jak rozumiem, do dzisiaj stronisz od tych owoców, a to też taki ciekawy łącznik z tamtym czasem, z tym ponemieckim drzewem, na które być może udawało się wspinać...

L.S.: Dawało się, oj, dawało... Jakieś takie jodełki, jakieś tego rodzaju rzeczy. Możliwość zrobienia piaskownicy dla dzieci. Wiesz, droga do przedszkola, taka przygodowa, idą, idą sobie drogą, siostrzyczka⁷ i brat, wiesz. I to się szło przez taki zagajniczek mały. To wtedy wydawało się laskiem. I nagle po drodze kurki rosną! Wiesz, coś niesamowitego zupełnie. Na końcu wsi jakieś takie gospodarstwo, chyba z dawnymi gospodarzami, ale mówiącymi po polsku. Jakiś pan... chyba na imię miał... ale sobie nie przypominę, wszyscy na niego mówili „Ćwiartka”. On nie mówił po polsku, ale umiał wszystko – złota rączka. Potrafił szafę zbudować...

P.K.: Autochton?

L.S.: Autochton, tak. Zatrudniane panie do sprzątania, gosposie po prostu...

P.K.: Ale zdaje się, Leszku, w tym liście Miłosza też się tam pojawia: „... no w razie czego weźmiecie jakąś Niemkę”.

L.S.: Tak, tak, to znaczy pytanie: kto i jak brał? Otóż pamiętaj, że ja nie wiem, jak to było u Woroszylskich, czy na przykład u Andrzejewskich, ale u nas, to było tak, że one były prawie domowe, to znaczy oboje rodzice mówili perfekt po niemiecku, więc to było ważne bardzo. Matka miała co prawda doświadczenie powstańcze, ojciec był po obozie jenieckim, więc dużo łagodniej, że tak powiem, przez to wszystko przeszedł, właściwie przesiedział wojnę jak u Pana Boga za piecem, tylko że stracił młodość – to jest inna rzecz, niestety. Pięć lat dla młodego chłopaka za drutami, bez dziewcząt, bez alkoholu (śmiech), bez niczego, skazanie na to zupackie towarzystwo – koszmar jakiś! On to opisał w takiej książce *Pomarańcze na drutach*⁸. I wiesz, nagle oni trafiają w taki świat. I te dziewczyny, Bogu ducha winne, jakieś osiemnasto-, dziewiętnastoletnie, czy może nawet młodsze dziewczynki niemieckie, no, które tam szukały jakiegokolwiek roboty... przecież oni je traktowali w gruncie rzeczy jak domowników.

⁷ Siostra poety, Lidia Wirpsza-Wardzińska (1948–2000).

⁸ Witold Wirpsza, *Pomarańcze na drutach* (Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1964); por. Witold Wirpsza, *Listy z oflagu*, oprac. Dariusz Pawelec, wstęp Leszek Szaruga (Szczecin: Zaulek Wydawniczy Pomyłka, 2015).

P.K.: Ale, Leszku, nawet z tej książki o Stargardzie, którą czytaliśmy wspólnie⁹, wynika, że pod koniec lat czterdziestych, to już mogły być wyjątki, że już praktycznie Niemców w Szczecinie prawie nie było.

L.S.: Jajn. Po przeprowadzce na Pogodno rodzice zatrudnili takiego pana, byłego marynarza łodzi podwodnej, zresztą dostał jakieś kontuzji kręgosłupa, w każdym razie miał problemy, tak, że został zwolniony z wojska w czasie wojny, też taka złota rączka do wszystkiego, Ewald, on się wyniósł ze Szczecina dopiero po '56 roku. Tak że on trwał do końca, ile mógł. Ja nawet byłem u niego kiedyś w domu. Ale też się nie można było dogadać, bo ja nie gadałem, ja nie znałem niemieckiego wtedy, zupełnie.

P.K.: O tych kwestiach traktuje w dużej mierze *Eine kleine* Liskowackiego, choćby ta historia Domu Kultury imienia Przyjaźni polsko-niemieckiej...

L.S.: Ale rodzice nie wchodzili w te układy. Znaczący, dla nich ważne były te dziewczyny, które szukały roboty. Widać było, że nie mają lekko. Wedle nich, no, przyjechali najeźdźcy, jeszcze do tego barbarzyńcy często...

P.K.: Ale zarazem w twórczości Witolda Wirpszy ten wątek trudnych polsko-niemieckich relacji tuż po wojnie odgrywa ważną rolę...

L.S.: *Schwester Milli*¹⁰, tak?

P.K.: No właśnie.

M.S.: Wirpsza jako pierwszy patrzył na Niemców jak na ludzi.

L.S.: Czy ja wiem, czy pierwszy? Bo pamiętaj o tym motcie Nałkowskiej: „Ludzie ludziom...”, to jednak znaczące. Ale on traktował ich, no po prostu... skończyła się wojna, mamy takich, a nie innych sąsiadów. Z tym, że dla niego wojna była wojną. To była walka. On nie przeżył okupacji. On nie wiedział, czym jest okupacja. Nie miał doświadczenia okupacji zupełnie.

P.K.: A zarazem to, co powiedzieliśmy o tej perfekcyjnej znajomości niemieckiego, to może być wehikuł empatii, dużo łatwiej się...

L.S.: No oczywiście, łatwiej się dogadać. Ale ja myślę, że on z tymi Irkami, bo to Ireny były zawsze – Irka-biała, Irka-czarna (śmiech), zabawne, jedna blondynka, druga ciemna,

⁹ Zob. Jolanta Aniszewska, *Zamęt. Czas powojnia w Stargardzie i okolicznych miejscowościach* (Poznań: Bogucki Wydawnictwo Naukowe; Stargard: Muzeum Archeologiczno-Historyczne w Stargardzie, 2022).

¹⁰ Pod takim tytułem ukazała się w 1957 r. w Niemczech Wschodnich w przekładzie własnym autora powieść *Na granicy* (Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1954).

te dziewczyny pewnie opowiadały jemu, coś rozmawiali o tym, co one przeżywają i tak dalej, jak, co dzieje się z ich rodzinami. Że też ja nic nie wiem na ten temat. Nigdy nie wpadłem na pomysł, żeby matkę o to wypytać, jak to było?

P.K.: Tak, być może trochę przesadziłem mówiąc, że tak nagle i bezpowrotnie Niemcy z dnia na dzień zniknęli ze Szczecina. Z tych opowieści wynika, że to nie była duża grupa, ale jednak zostali w Szczecinie. Nie jest tajemnicą, że imię znanej pisarki szczecińskiej – Ingi Iwasiów – jest na cześć przyjaciółki jej mamy, która miała na imię Ingeborga...

L.S.: To trzeba sobie przypomnieć jednak książkę, która moim zdaniem jest kompletnie zapomniana, a która w jakiś sposób akurat tamte kwestie dokumentuje, to Britta Wuttke.

P.K.: Oczywiście. *Homunculus z tryptyku*¹¹.

L.S.: Prawda? *Homunculus z tryptyku*... To jest jedno z takich świadectw tamtej strony. I jednak Britta... Co prawda mówiła po polsku jak ty i ja, ale równie dobrze mówiła po niemiecku i była jednak Niemką, która została w tych Międzyzdrojach, tutaj chodziła do szkoły w Szczecinie... Takich ludzi nie było dużo w sensie masy, natomiast oni byli gdzieś rozproszeni. Jak trafiali na ludzi takich jak moi rodzice, no, to jakby Pana Boga za nogi złapali, bo to byli ludzie, z którymi mogli się dogadać. To była pierwsza rzecz, to porozumienie na płaszczyźnie języka. Można mówić, opowiadać (śmiech). Ten człowiek rozumie, co ja do niego mówię.

P.K.: Tak słowo to jest początek. Dodajmy, że Britta Wuttke ładnie została przypomniana niedawno przez Piotra Oleksego w jego książce o archipelagu¹², bo rzeczywiście jej postać niesłusznie jest zapomniana. chociaż w Szczecinie jeszcze w latach 90. obecna była na łamach „Pograniczy”, później to się zmieniło...

L.S.: No, ona była lekarką przecież z wykształcenia, ale potem poszła w jakieś ziołolecznictwo, w jakieś takie niekonwencjonalne rzeczy. Ja parę razy widziałem ją w Berlinie.

P.K.: Tak, wyjechała do Berlina...

L.S.: Ale to miłość była, a nie żadna polityka. Autentycznie, poszła za miłością...

P.K.: Tak, Leszku, ale wróćmy nad Głębokie. Jest taka znana formuła Ernesta Hemingwaya, mówiąca, że skarbem pisarza jest nieszczęśliwe dzieciństwo.

¹¹ Zob. Britta Wuttke, *Homunculus z tryptyku* (Poznań: Wydawnictwo Poznańskie, 1980).

¹² Zob. Piotr Oleksy, *Wyspy odzyskane. Wolin i nieznany archipelag* (Wołowiec: Wydawnictwo Czarne, 2021).

L.S.: (śmiej) No, to ja skarbca nie mam akurat.

P.K.: To chciałem nieśmiało zasugerować na podstawie twojej opowieści (śmiej). Dominują w niej jasne barwy, to światło, spacer leśną ścieżką, wokół kurki, nawet te wiśnie w nadmiarze, to jednak jest taki obraz świata troszkę jakby poza historią...

L.S.: No, nie do końca poza historią, bo jednak koło przedszkola pewnego dnia z hukiem i łomotem przejechała olbrzymia kolumna czołgów sowieckich. I niedługo potem był wybuch powstania w Berlinie. I jakoś jednocześnie umarł... Zgasiło „słonko ludzkości”, 5 marca ‘53 roku. I to wszystko przeżywałem, że tak powiem bardzo... To wówczas zaczęło się mówić o tym, że wojna będzie... Przedszkolanki nasze, też dziewczuszki jakieś...

P.K.: Leszku, miałeś równo siedem lat, jak generalissimus zszedł był, czy pamiętasz tamten moment?

L.S.: Słuchaj, ja pamiętam, że przyszedłem z przedszkola do domu i coś rodzice byli uradowani, a w przedszkolu nam powiedziano, że wojna teraz wybuchnie. Ja taki przerażony do tego domu wracałem, no bo te czołgi przed chwilą jechały, wiesz, to dla dziecka naprawdę było coś niesamowitego zupełnie. Taka zbieżność wydarzeń. Więc ta historia się wdzierала. Wdzierала się i na inne sposoby. Myśmy łazili tutaj do lasu. Zaraz, przecież paręset metrów od domu zaczynał się las, kończyła się wiocha i zaczynał się las. A w tym lesie, co było? No różne znaleziska, wynalazki, typu mina talerzowa (śmiej), a to jakieś naboje, jakieś hełmy... Myśmy tego draństwa z tego lasu wynosili mnóstwo. Kiedyś taką minę wsadziliśmy do ogniska, no cud boski (śmiej), kurczę, że my wszyscy to przeżyliśmy.

M.S.: Leszku, mimochodem o jednej ważnej rzeczy wspomniałeś, kiedy mówisz o momencie śmierci Stalina. Twój ojciec był jednym z „pryszczatych” przecież, ale on chyba nie płakał już w ‘53?

L.S.: Nie, nie, już nie.

M.S.: To też był sygnał o tym, że w jego głowie coś bezpowrotnie się zmieniało – nastawienie do systemu.

L.S.: Wiesz, ja nie sądzę, żeby wierzył w Stalina. Jeżeli ojciec wierzył w cokolwiek, to wierzył w komunizm. Natomiast w Stalina, to na pewno nie. Wierzyła w Stalina być może Wisława¹³, która zresztą na Głębokim bywała. Bo tam przecież, jeszcze o jednej okoliczności

¹³ Mowa o przyszłej noblistce, Wiławie Szymborskiej, która utrzymywała przyjacielskie relacje z matką Leszka Szarugi, Marią Kurecką.

nie wspomniałem, ale akurat nasz dom spośród tych wszystkich, które tutaj wymieniłem, najczęściej przyjmował gości. Myśmy mieli pokoje gościnne u siebie. Nie znaczy to, że były usytuowane w amfiladzie, ale były i co jakiś czas ktoś mógł przyjechać i sobie pomieszkać po prostu (śmiech), o!

P.K.: To jest właśnie też *casus* Różewicza, który wczesną wiosną, można powiedzieć, bukował (tutaj cudzysłów) kwaterę. Pisał w listach: „zarezerwujcie pokój na kilka letnich tygodni”... Była więc taka przestrzeń do spotkań i rozmów, czy oprócz Różewicza pojawiał się ktoś jeszcze?

L.S.: Właśnie Wisława przyjeżdżała. Pamiętam kiedyś zdumioną Wisławę, zresztą napisałem o tym w tej mojej książce¹⁴, jak przyleciała z lasu, że widziała, jak grzyb rośnie (śmiech). To jest ten taki ruch, kiedy kapelusz, że tak powiem, rozrywa liście, mech, i wydostaje się na zewnątrz. Że ona to zaobserwowała akurat. To pamiętam doskonale. Jest takie zdjęcie, które mi kiedyś Tadeusz [Różewicz] dał, jest w tym moim tomiku *Panu Tadeuszowi*¹⁵, gdzie ja mu siedzę na kolanach (śmiech).

P.K.: To prawda.

M.S.: To ile miałeś lat, kiedy poznałeś Różewicza, czy zapamiętałeś coś z tych pierwszych spotkań?

L.S.: Słuchaj, byłem wówczas dzieciakiem ledwo co kojarzącym, natomiast jedną rzecz pamiętam dokładnie, ponieważ rodzice gdzieś wybyli, dzieci pozostawiając opiece Tadeusza. Ja to zapamiętałem dokładnie, chociaż Tadeusz temu przeczył. Bo mówił, że jeżeli by rzeczywiście tak było, to by mnie z rąk wypuścił. A więc pamiętam go wyciągającego mnie z wanny i suszącego ręcznikiem. No, pamiętam taką scenkę.

M.S.: A czy rodzice wspominali, w jakich okolicznościach poznali się z Różewiczem?

L.S.: Ja myślę, że po prostu, widzisz, rodzice razem, to chyba dopiero wtedy, kiedy Tadeusz przyjechał na Głębokie. Ale ojciec dość często jeździł, no bo to był jednak tak zwany młody poeta wtedy, to była ta cała grupa debiutantów, oni się spotykali co jakiś czas.

M.S.: Poza tym tuż po wojnie najpierw mieszkaliście w Krakowie.

L.S.: Tak, to po pierwsze.

M.S.: Różewicz też tam mieszkał przecież.

¹⁴ Zob. Leszek Szaruga, *Podróż mego życia* (Szczecin: Wydawnictwo Form; Stowarzyszenie OFFicyna, 2008).

¹⁵ Leszek Szaruga, *Panu Tadeuszowi* (Szczecin: „13 Muz”, 2001).

L.S.: Ale to bardzo krótko. A mogli się i wtedy poznać! To prawda. Wiem, że matka bardzo się z Tadeuszem zaprzyjaźniła. Opowiadała mi zresztą taką scenę. Że była w Warszawie wtedy, w przeddzień samobójstwa Tadeusza Borowskiego, albo tak zwanego samobójstwa – powiedzmy sobie w ten sposób – i właśnie ona nie wierzyła w samobójstwo Borowskiego. Mówiła: „To jest niemożliwe, żeby samobójstwo popełnił facet, który nagle krzyczy do mnie, z tych schodów Związku Literatów w Warszawie, tam, przy Placu Zamkowym: «Maryla, mam córkę! Urodziła mi się córka!»”, zachwycony tym, i następnego dnia kolesia nie ma! To jest zastanawiające. To jest prawie niemożliwe. Inna sprawa, że ci, którzy przeszli przez te wszystkie obozy, często samobójstwa popełniali. To jest też taka jedna z chorób kacetowych.

P.K.: No tak, nawet Primo Levi... Nawet w wieku sędziwym nie zniknął ten długi cień, z którym zmagali się ocaleni z Zagłady...

L.S.: Mama mogła mieć pojęcie o tym wszystkim z jednego powodu, przez zamordowanie jej ojca w Dachau. A więc ona również wiedziała, czym były obozy.

M.S.: Też sądzisz, że Borowski mógł nie popełnić samobójstwa?

L.S.: Słuchaj, ja tego nie jestem w stanie rozstrzygać. To trzeba by porządnie zbadać, uczciwe badania przeprowadzić.

P.K.: Przede wszystkim warto byłoby wprowadzić taki konstytucyjny zapis (mówię to oczywiście w trybie pół serio), samobójca powinien zostawić list pożegnalny – wtedy dużo by się wyjaśniło.

L.S.: Tak, tutaj tego nie było. Pytanie – czy to gaz, czy nie gaz, jak to dokładnie było? Nie wiem, czy zachowała się dokumentacja ze śledztwa, bo na pewno jakieś śledztwo było prowadzone. I to musiało być poważne śledztwo, ponieważ to była postać jednak ze świecznika, chociaż bardzo młody chłopak. On miał jakąś pozycję, on był jednym z takich symboli tej przemiany, jako pisarz odgrywał rolę takiego wodza młodych socrealistów. To była postać! Więc ja nie sądzę, żeby tak zwyczajnie milicja przyszła, posprzątała... Albo posprzątano. Albo robiono śledztwo albo posprzątano. Tego nikt z nas nie dojdzie już w tej chwili. Wiktor [Woroszyński] w każdym razie natychmiast znalazł się w Komitecie, opracowującym to wielotomowe wydanie dzieł Borowskiego¹⁶. Chyba Andrzejewski był szefem tego komitetu. Głowy za to nie dam, jak to wyglądało. Ja mam to wszystko. Mam jakąś książkę, znaczy zbiór opowiadań Borowskiego, dedykowany rodzicom i mnie (śmiech). W czterdziestym, chyba siódmym roku.

¹⁶ Zob. Tadeusz Borowski, *Utwory zebrane*, t. I–V, wstęp Wiktor Woroszyński (Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1954).

P.K.: Kiedy miałeś rok.

L.S.: No właśnie. Więc musieli być blisko, skoro on nie „synowi”, czy coś tam, tylko „Maryli i Witoldowi, i Puntkowi¹⁷”, zadedykował. Więc to musiała być jakaś zażyłość, skoro tak. Ale nigdy tego nie byłem w stanie dociec i nigdy się o to nie dopytywałem. To znaczy ja miałem trochę taką dziwną postawę wobec tego wszystkiego, bo z jednej strony się wstydziłem tego epizodu socrealistycznego, bo go nie rozumiałem kompletnie. Dopiero po latach zrozumiałem, że to było możliwe, ludzie inteligentni, wykształceni przed wojną w dobrych szkołach, którzy... Matka wiedziała, co to jest komunizm, bo ona miała koleżanki w klasie w Niepokalanowie, których rodzina została ewakuowana z Sowietów w '38, czy siódmym roku. I to były dziewczyny, które się bały wszystkiego. I ona wiedziała po prostu z rozmów z nimi, co to za kraj. Ojciec nie miał zielonego pojęcia. Z kolei „starszaki” typu Miłosz... Z ojcem to jeszcze było troszkę tak, że autorytety opowiadały się po tamtej stronie. Autorytety typu Przyboś, który zakwestionował całą swoją twórczość przedwojenną. I to w pierwszym tomie wydanym po wojnie. *Miejsce na ziemi*¹⁸ to jest jedna z pierwszych poetyckich książek, która się ukazała się po wojnie. Takich poważnych, obok *Ocalenia*¹⁹ Miłosza, w tej niezwykle ważnej serii. Miłosz, jak wiemy, później, w '47 opublikował *Traktat moralny*, z którym mój ojciec wdał się potem w literacką polemikę²⁰. Ale trzeba by dokładnie porównać te teksty i zobaczyć, jak ta polemika wygląda z dzisiejszego punktu widzenia, a nie z punktu widzenia rozliczeń z socrealizmem. Bo to są jednak dwie różne rzeczy, prawda? Ja nie mam ochoty „grzebać się” w ojcu, o!, tak bym powiedział (śmiech). No, nie lubię tego po prostu. Pamiętam ojca jako ojca i to jest dla mnie najważniejsze. Czyśmy o poezji dużo rozmawiali? Trochę rozmawialiśmy, ale też nie za dużo. Więcej chyba o matematyce, ponieważ ojciec miał... kompleks niedokształcenia w tej dziedzinie. Ujmijmy to tak. Bo muzyka i matematyka to są rzeczy bliskie. On był muzycznie wykształcony i muzyka go zawsze fascynowała. Co prawda nie napisał książki, ale szykował się do książki o Mozarcie. Takiej ważniejszej książki. Sporą bibliotekę zgromadził dokumentacji mozartowskiej.

¹⁷ Dziecięcy pseudonim Aleksandra Wirpsy.

¹⁸ Julian Przyboś, *Miejsce na ziemi* (Kraków: „Czytelnik”, 1945).

¹⁹ Czesław Miłosz, *Ocalenie* (Warszawa: „Czytelnik”, 1945).

²⁰ Mowa o *Traktacie polemicznym* Witolda Wirpsy. Utwór miał pierwodruk na łamach „Twórczości” (maj 1949), a następnie został przedrukowany w tomie Wirpsy *Polemiki i pieśni* (Warszawa: „Czytelnik”, 1951); por. Dariusz Pawelec, „Traktatowo i polemicznie – Witold Wirpsza wobec Czesława Miłosza”, *Ruch Literacki* 3 (2012).



Piotr Krupiński i Leszek Szaruga. Autor: Mariusz Strzeżek.



Mariusz Strzeżek i Leszek Szaruga. Autor: Piotr Krupiński.

PROSIMY O CYTOWANIE ARTYKUŁU JAKO:

„My, dzieci z Głębokiego. Z Leszkiem Szarugą (Aleksandrem Wirpszą) rozmawiają Piotr Krupiński i Mariusz Strzeżek. Szczecin, 14.09.2023”, *Autobiografia Literatura Kultura Media* 1 (2025), 24: 179–190. DOI: 10.18276/au.2025.1.24-13.